

Ewa Łukaszyk

Mistrzowie i nomadzi Strategie intelektualnego przetrwania

Steinerowskie *Lessons of the Masters*¹ mówią nie tylko o przeszłości kultury. Stanowią wyraziste odniesienie do aktualności, naznaczone nostalgią za światem akademickim, który już nie powróci. Wydaje się, że ta nostalgia jest dziś czymś jak najbardziej uzasadnionym. Czyż nie żyjemy w czasach technologizacji uniwersytetu, w którym kształcenie jest usługą, a umysł – przedmiotem obróbki? Tym żywsza jest tęsknota za akademią wypełnioną autentycznym dialogiem, żywym kontaktem między mistrzem a uczniem. Problem nie sprowadza się jednak do postępującej biurokratyzacji uczelnianego świata, tracącego resztki duchowej autonomii, ani też do zmasowania kształcenia, którego logiczną konsekwencją jest przekształcenie uniwersytetu w sprawnie działającą maszynę, będącą jedynym sposobem poradzenia sobie z nadmierną ilością umysłów do wyedukowania. Sprawa sięga znacznie głębiej: sam świat kultury, w której kluczowe znaczenie miałby osobisty kontakt z charyzmatycznym mistrzem, uległ głębokiej przemianie. *Maîtres à penser* odeszli wraz ze zmierzchem nowoczesności i jej totalizujących narracji.

Miejsce dla mistrza jest tam, gdzie do pomyślenia jest *aletheia*, gdzie można jeszcze liczyć na odnalezienie nadrzędnego Bytu, któ-

¹ G. Steiner: *Lessons of the Masters*. Cambridge, Massachusetts–London 2003.

ry jest Prawdą sam w sobie. Wtedy mistrz jest tym, który prowadzi duchową ścieżką znajdującą w tym Bycie punkt centralny, gdy stawką jest dojście, osiągnięcie tego centrum, a w nim – pełni poznania. Tymczasem świat prawdy wielorakiej, niepewnej i prowizorycznej nie potrzebuje i nie znosi mistrza, bo nie ma w nim ścieżki, którą mógłby on wskazywać. Ani wielość dróg, ani labiryntowy charakter świata wiedzy nie uzasadnia potrzeby przewodnictwa, jeśli ścieżki równoważą się nawzajem i nie sposób wskazać drogi jedynej, wyłącznej czy najlepszej.

Intelektualny świat, w którym było miejsce dla mistrza, miał to do siebie, że nie do końca dowierzał pismu, głosił jego niewystarczalność. Uznawał, że ani najobszerniejsza księga, ani najbardziej pieczołowita lektura nie wyczerpują nigdy zagadnienia. Konieczne jest żywe słowo, ustny komentarz, gestykulacja mistrza, bezpośredni kontakt, spojrzenie w nagą żrenicę. Żywa Prawda nie mieściła się w martwym słowie zadrukowanej stronicy. Dlatego też mistrz nie sprowadzał się do autora, mistrz musiał nauczać. Trzeba było wdać się z nim w interakcję.

Ale ta interakcja niesie ze sobą zagrożenie, nieustannie oscyluje między dialogiem a agresją. Bloomowski „lęk przed wpływem” jest więcej niż uzasadniony². Spotkanie może być intelektualnym pojedyńkiem na śmierć i życie. Mistrz w pewnym sensie niszczy, czasem nawet w sensie całkiem dosłownym. Im jest większy, tym większe niebezpieczeństwo zaprzepaszczenia indywidualności ucznia, zatarcia, wyjałowienia, nieodwracalnego zredukowania go do wtórności. Dlatego też między mistrzem a uczniem toczy się walka, której stawką jest intelektualne wyzwolenie. Mistrza trzeba podważyć, zdradzić, przewyciężyć, pokonać, a przynajmniej ominąć jak przeszkodę. Dlatego właśnie mistrz i uczeń, którzy nie zniszczyli się nawzajem, są powiązani kruchym paktem, jakby darowali sobie życie. Tłumaczy to w pewnej mierze, dlaczego intelektualna przyjaźń jest tak fascynującym zjawiskiem. Kryje w sobie paradoks pojednania śmiertelnych wrogów.

² H. Bloom: *Lęk przed wpływem. Teoria poezji*. Tłum. A. Bielik-Robson, M. Szuster. Kraków 2002.

Relacja między mistrzem i uczniem ma w sobie coś z cielesnego „zwarcia”. Dlatego też zawsze ciążyła ku erotycznemu spełnieniu, które mogło być sposobem rozładowania nagromadzonego napięcia. Steiner wymienia Alcybiadesa i Sokratesa, Heloizę i Abelarda, Arendt i Heideggera. Dziś takie związki – w świecie aż nadto liberalnym – nadal są objęte najściślejszym tabu, a przynajmniej osnute dyskretną zasłoną milczenia. Uchodzą za niesmaczne.

Może samo „zwieranie się” z mistrzem, choćby miało mieć wyłącznie duchowy charakter, zbyt przypomina walkę ciała przeciw ciału. Leży w sferze obrzydzenia rodzącego wyparcie. Tradycja, a więc „to, co przekazane” tworzy zobowiązanie, do którego nie zawsze chcielibyśmy się przyznawać. To skradziony element, który nadal stanowi własność naszych prekursorów, ale którego nie możemy przecież zwrócić. Uległość wobec słowa mistrza budzi zawstydenie. O ileż bardziej ceniona byłaby samorodna oryginalność. Niestety, jak ostrzega Bloom, jest ona czymś rzadkim, prawie niemożliwym, a deklaracje autonomii opierają się na fałszywej samowiedzy kogoś, kto, nie mogąc przewyciężyć mistrza, próbuje przemilczeć fakty, ukryć wpływ, jakiemu uległ, zepchnąć w sferę tabu *quasi-erotyczną* relację, która została skonsumowana i w której odegrał tę bierną rolę. Metaforą mistrzowskiej lekcji może być gwałt.

Postać mistrza wiecznie przypomina o niespłaconym długu, grzechu, winie i nieczystości. Dobrze, „silne” dzieło, jak pociesza Bloom, może mieć wartość pokuty, egzorcyzmu. Sensem rozgrywki jest to, by wyprzeć mistrza, samemu zając jego miejsce. Ale zmarli mistrzowie nie dają się tak łatwo przepędzić, a „powracając, zmuszają nas do życia w ich cieniu”³.

O ileż bardziej komfortowa byłaby nasza intelektualna egzystencja, gdybyśmy się pozbyli mistrza. Zgładzenie go, podobnie jak zgładzenie ojca, o którym czytaliśmy już u Freuda, niczego właściwie nie rozwiązuje, bo skruszeni uczniowie wkrótce przywracają naukę nieobecnego mistrza, czyniąc z niej nienaruszalne prawo. Trzeba więc pozbyć się go w inny sposób. Jego wpływ minimalizuje dziś

³ Ibidem, s. 181.

prymat czytania nad słuchaniem, lektury nad interakcją na żywo. Obcujemy raczej z książkami niż z ludźmi. Mistrza wyparł autor. Steinerowska nostalgia za „mistrzowską lekcją” jest więc pewną formą gry z mitem, na jaką można sobie pozwolić dziś, gdy groźba duchowego unicestwienia przez charyzmatyczną postać wielkiego nauczyciela dla większości stała się „zaniedbywalna”. Nie przypadkiem książkę Blooma, niosącą w gruncie rzeczy dość smutne przesłanie o przemożności wpływu, dzieli od Steinerowskiej tęsknoty za mistrzem całe trzy dziesięciolecia, w ciągu których kształt duchowego i intelektualnego świata bardzo się zmienił. Żyjemy w warunkach zerwanej tradycji, która częściej przypomina układ geologicznych warstw i żył do eksploataowania lub rumowisko do swobodnego płądowania niż żywy nurt, w który można byłoby się włączyć. Nowe życie intelektualne cechuje przywilej – bądź przekleństwo – osamotnienia.

Wierność mistrzowi podlega tym samym prawom, jakie z bezwzględną szczerością opisał Bauman, traktując o ponowoczesnych relacjach osobistych. Jest czystą stratą, mierzoną sumą okazji, jakie w międzyczasie nie zostały wykorzystane, wielością szans, z których trzeba było zrezygnować, pozostając przy mistrzu. Teraz nie chodzi już nawet o to, że stawką partii rozgrywanej z mistrzem jest intelektualne przetrwanie lub wyniszczenie. Przegrana jest pewna z góry, bo jej miarą jest suma wszystkich ruchów, jakie można było wykonać na szachownicy i które nie zostały urzeczywistnione. Jeśli intelektualna fascynacja ma coś z erotycznego pożądania, to dziś, jak pisze Bauman, ekscytacja i folgowanie zachciankom przeważa nad „kłopotliwym i czasochłonnym podsycaniem i pielęgowaniem pożądań”⁴.

Mistrz był potrzebny tam, gdzie drzewo wiedzy rozrastało się w ukierunkowany sposób. Teraz jednak nadeszły czasy kłacza, które przerasta całą dostępną objętość, rozgałęziając się chaotycznie i bez planu, którym ktokolwiek mógłby kierować. Nową strategią intelektualną jest *serendipity*, zdanie się na przypadek, szczęśliwy traf, na to, że któraś z przypadkowo nakreślonych ścieżek połączy

⁴ Z. Bauman: *Razem osobno*. Tłum. T. Kunz. Kraków 2003, s. 25.

punkty, tworząc odkrywczе i nieeksploatowane dotąd znaczenie. Dzięki temu kłacze może się niekiedy okazać skuteczniejsze niż rozgałęzienia drzewa wyrastające z pojedynczego pnia.

Zamiast wdawać się w angażującą czas i siły rozgrywkę z mistrzem, kuszącym pomysłem wydaje się porzucenie osiadłości i żmudnej pracy przy intelektualnym warsztacie. Korzystniej jest podjąć wędrówkę, za strategię intelektualnego przetrwania obierając nomadyzm. Przystać do nomadów – to obywać się bez przewodnika, błądzić od źródła do źródła, wypróbować nieustannie wiele możliwych sposobów i strategii myślenia. To żywot trudny i niebezpieczny, ale mający swoją godność. Wymaga zachowania dystansu do intelektualnego świata, który się nawiedza, ale którego się nie zamieszkuje. Trzeba wyrzec się pokusy zawłaszczenia, pozostania przy pojedynczym problemie, które w jednej chwili zniweczyłoby sens całej wędrówki. W życiu intelektualnym nazywamy to niebezpieczeństwo przyczynkarstwem. Jest ono szczególnie groźne dziś, gdy nieustanne zawężanie specjalizacji bywa uznawane za synonim jakości najwyższej próby i prawdziwie naukowego podejścia. Oczywiście jest też i niebezpieczeństwo odwrotne, czyhające na nomadów: ryzyko rozproszenia. Ale prawa zachcianki nie są na szczęście aż tak zwodnicze, jak mogłoby się wydawać. Idąc za ulotnym pragnieniem, zwykle nawiedzamy cyklicznie te same tereny, przy każdej okazji sięgając nieco głębiej, spostrzegając nowy detal pejzażu.

Metafora mgławicy, wśród wielu różnych znaczeń, jakie można jej przypisać, dobrze ilustruje też nomadyzm jako strategię intelektualnego przetrwania. Największą sztuką jest tu budowanie układu współrzędnych bez punktu zerowego. Mgławicowość jest permanentnym warunkiem atmosferycznym, w którym trzeba nauczyć się bytować. Nie jest to wcale umiejętność ani łatwa, ani powszechna. Zaakceptowanie płynności, ruchliwości pojęć, niedookreślenia, jakie jest warunkiem dialogu wymykającego się tautologii – wszystko to stanowi intelektualne wyzwanie. O wiele łatwiej bytować w świecie krystalicznym, gdzie pojęcia są jasno zdefiniowane i z góry wiadomo, że mówimy o tym samym.

Rozgrywka z mistrzem, choć wyczerpująca, miałaby swoje jasno ustalone reguły. W mgławicy nic nie obowiązuje zasadniczo, może

tylko wezwanie do wędrówki i akceptacji intelektualnego ryzyka. Nomadzi nie udzielają lekcji. Zapytani o drogę, zwykle dostarczają sprzecznych wskazówek. W ten sposób wracamy do kwestii nauczania i przekazu. Czy z powyższego wynika, że nie istnieją już ani wzorce, ani figury w intelektualnym świecie, w które warto byłoby się zapatrzyć? Nie. Takie figury nadal istnieją, tyle że wywierany przez nie wpływ nie polega już na wezwaniu do *imitatio*, ale na wdrażaniu do transgresji i zdrady. Kształcenie jest nadal możliwe jako nauka skutecznego koczowania. Polega na pokazywaniu, w jaki sposób traktować innych intelektualistów, choćby nawet takiego Peirce'a, czy kiedyś Ingardena, nie jak mistrzów, ale jak punkty orientacyjne, jak penetrować tereny, twórczo wymijając mistrzowskie pytania, zamiast nieustannie się o nie rozbijać, jak to czyni ktoś, kto gotów uznać je za nieuniknione. W świecie mistrzów lęk przed wpływem można było jedynie stłumić lub zamaskować. W świecie nomadów od lęku przed pobłędzeniem można się efektywnie uwolnić. Wtórność staje się po prostu odcinkiem drogi przemierzonej po wydeptanej przez kogoś wcześniej ścieżce, z której nomada schodzi beznamietnie i bez większego wysiłku. Autentyczność, niepowtarzalność i oryginalność, która Bloomowi wydawała się nie do osiągnięcia, staje się naturalnym stanem intelektualnego bytowania.